

Wyróżnienie

Łucja Woźniakowska (IV A)

Zburzono mi horyzont

3:17 w nocy. Obudziłam się, choć lepiej by było gdybym spała dalej. Beznadziejne poczucie spadania, grzmoty, gwizd wiatru za oknem i jakby metaliczne trzaski gdzieś w głębi ścian wyciągały mnie z krótkiego snu. Później, gdy próbowaliśmy odtworzyć bieg wypadków, nie pamiętałam, jak znalazłam się w tym punkcie... Światło się paliło. Siedziałam na łóżku, wpijając dłonie w materac, walcząc z szumem informacji przesyłanych przez błędnik do mózgu. Nogi się trzęsły, a cały pokój kołysał, jakby wieżowiec miał zamiar zaraz już na zawsze pokłonić się burzy, grzebiąc wszystkich mieszkańców. Lecz nic z tego nie miało znaczenia, na te zatrzymane w nicości kilka sekund istotny był tylko widok huśtającej się lampy. Latała z jednej strony na drugą tak, że dotykała sufitu. Hipnotyzujący i choć prosty, to przerażający w swej nietypowości ruch. Odgłosy z pokoju gospodarzy za ścianą i huk burzy wcisnęły ponownie przycisk Play. Odwróciłam głowę, ojciec wciąż spał. Nie mogłam się ruszyć, więc zaczęłam krzyczeć.

JA

Tato! Tato!

OJCIEC

Po chwili. Co? O co chodzi?

JA

Czy to możliwe, żeby wiatr tak kołysał budynkiem?!

Tak, dokładnie te słowa padły z moich ust: „Czy to możliwe, żeby wiatr tak kołysał budynkiem?” Teraz na myśl o tym uśmiecham się gorzko. Naprawdę jeszcze w tamtej sekundzie tak myślałam.

OJCIEC

Jakaś niewyraźna odpowiedź (teraz już zapomniana i bez znaczenia).

Obudził się jednak, popatrzył na lampę a potem w moim kierunku, na nogi jakby w konwulsjach. „Idę zobaczyć co się dzieje. Spokojnie”. Wstał i wyszedł z pokoju. Ja też ruszyłam, niemalże czując, jak płyty skóry odrywają się od ciała, które niewytłumaczalnie w czasie tych kilkudziesięciu sekund zdążyło wrosnąć w pościel i stworzyć z nią na powierzchni pośladków, ud i wnętrza dłoni integralną całość. Zdziwiłam się, że jestem w stanie iść wyprostowana, byłam przekonana, że nie będzie to możliwe. Lekko ugięte kolana, dłonie na ścianach po obu stronach. W korytarzu był Ojciec i Aga z córką. Padły słowa:

Trzęsienie ziemi

Chwilę minęło, zanim dotarli do mnie. Nie dowierzałam. „Tak wygląda trzęsienie ziemi?!”

W mojej głowie wyobrażałam to sobie zawsze jako wstrząsy, nie chybotanie. Pojawił się jeszcze Pająk ze śpiącym synem na rękach. Przeszliśmy do przeszklonego salonu, gdzie przez ogromne okna widać było panoramę ciemnego miasta, choć nie tak czarnego jak zazwyczaj.

W Bejrucie po zmroku nie palą się latarnie, nie dlatego, że ich nie ma, ale ponieważ rządu nie stać na produkcję elektryczności. Mieszkańcy dziennie mają kilka godzin „prądu rządowego”, reszta bierze się z prywatnych, dymiących i rzęzących agregatów stojących wszędzie na ulicach. Wtedy jednak ludzie wyrwani ze snu, jeśli mieli taką opcję, nie żalowali światła.

My w salonie na dziewiętnastym piętrze, nad nami kolejne pięć. Huśtanie powoli stawało się lżejsze. Poczuliśmy zimno i powietrze; wszystkie okna odsunęły się przy kołysaniu na szerokość dłoni. Ojciec zszedł na dół porozmawiać z ludźmi na portierni, ja zostałam. Poczuliśmy po paru minutach, że odchylenie od pionu ponownie staje się większe. Aga zawołała mnie i córkę pod stół. Siedziałyśmy tam na kolanach, odświeżając tylko otwartą kartę przeglądarki z zapytaniem: earthquake Lebanon (trzęsienie ziemi Liban), aż znów ustało. Wiedziałam na pewno, bo patrzyłam na lampę chyba pół minuty. Wrócił ojciec i wstałyśmy spod stołu w milczeniu, każdy czytał. W końcu było jasne. Epicentrum w Gaziantep. Turcja. Tam osiem w skali Richtera, tu pięć. Według opisu tabeli u nas tylko „średnie wstrząsy powodujące mniejsze uszkodzenia budynków”, ale tam „ogromne zniszczenia, katastrofalne skutki dla wielu krajów”.

Poszłam napić się wody z baniaka (ta w kranach nie jest zdatna do picia). Usiadłam na podłodze w kuchni ze szklanką, nagle słaba i krucha, jakbym spadła z szafki razem z przedmiotami u znajomych z wyższych pięter, o czym dowiedzieliśmy się kolejnego dnia rano. Czujność i mobilizacja minęły, a jej miejsce zajął osobliwy smutek, jaki się pojawia po nagłym spięciu i strachu. „Ale przecież przeżyłam, prawda?” Nieprzejęty całą sytuacją, spokojny, zaciekawiony i niespieszny, na miękkich łapach wynurzył się zza drzwi kot,

Babunysz. Był o wiele większy od typowych polskich dachowców, mimo że również nierasowy i wychowany na ulicach w Ammanie. W półmroku jego rude i białe plamy wydawały się szare. Podszedł bliżej i nastawił gęstą sierść do głaskania. Choć był to tylko kot, w tamtym momencie, jak i później podczas tygodnia pobytu, pozostawał dla mnie bardziej trwałym i emanującym spokojem niż okazałe pozostałości antycznych świątyń w Baalbeku.

Gdy zasypialiśmy zmęczeni i czujni z niemijającym uczuciem kołysania w ciele, za oknami słyhać już było pierwszych muezinów śpiewających Azan zwołujący wiernych przez głośniki na wieżyczkach meczetów na pierwszą modlitwę o wschodzie słońca. Chwalący wielkość Boga w tym niespokojnym mieście, w którym przebudziła się dawna trauma z wojny domowej 1975 – 1990, licznych ataków terrorystycznych Hezbollahu, wybuchu w porcie 28 sierpnia 2020. Bejrut ponownie przeszedł dreszcz strachu o swe już wątłe mury. Lecz śpiew nieprzerwanie chwali codziennie Pana w stolicy upadającego kraju, którego 80% społeczeństwa żyje na granicy ubóstwa, w którym ćwierć populacji to uchodźcy syryjscy, w którym prawa kobiet i osób homoseksualnych należą do dalekiej przyszłości, natomiast konflikty religijne są w pełni aktualne i wykraczają często poza sferę słowną. W kraju, gdzie uzbrojeni wojskowi, pojazdy opancerzone, walający się wszędzie drut kolczasty, mury pomalowane w symbol flagi libańskiej oznaczające tereny baz wojskowych, góry śmieci, opuszczone domy i wgłębienia w ścianach po kulach stanowią naturalny element krajobrazu, a ekonomia leży w gruzach.

Kolejnego dnia rano zadzwoniliśmy po Hasima, mężczyznę robiącego za objazdowy kantor. Kiedyś, parę lat temu jeden dolar amerykański odpowiadał tysiącu pięciuset lirom libańskim, obecnie jest to według oficjalnego, zamrożonego kursu bankowego piętnaście tysięcy, a i ten jest nic nie wart, bo realny kurs (czarnorynkowy), którym posługuje się całe państwo na co dzień, to około sześćdziesiąt cztery tysiące (nigdy do końca nie wiadomo, bo zmienia się on kilkakrotnie w ciągu dnia). Hasim przyjechał na swoim skuterze i wyciągnął czarną reklamówkę banknotów. Wymieniliśmy dwieście dolarów na plik papierków, każdy o nominale po sto tysięcy. Padał deszcz, więc schowaliśmy się pod jakiś daszek.

OJCIEC

Wręczając mi plik banknotów. Licz.

JA

Do ilu?

OJCIEC

Do stu.

Więc liczyłam banknoty do stu, a on drugą porcję do dwudziestu. Byliśmy miliardami.

Wieczorem kurs był już inny.

Mój błędnik jeszcze długo nie przestawał wariować, co chwilę wydawało mi się, że świat pod stopami dalej się huśta. „Pewnie tak właśnie czują się marynarze po zejściu na ląd” – myślałam. Najgorzej było rano lub gdy stałam dłużej w miejscu. Musiałam absurdalnie wyglądać dla osób wokoło, kołysząc się na palcach w przód i w tył, wlepiając jednocześnie oczy w najbliższą lampę, sprawdzając, czy na pewno się nie rusza. Lampy i wszelkie wiszące rzeczy stały się w owym czasie wyznacznikiem prawdy. Każdy spędzony w Libanie dzień był inny, każdy wyburzał kolejną część mojego dotychczasowego wyobrażenia o świecie. „Wiem, że nic nie wiem”. Nie przypuszczałam, że ta nadużywana i wyświechtana sentencja odnajdzie kiedyś naprawdę głęboki sens w moim sercu.

Po przeczytaniu poradników i konsultacji z właścicielami apartamentowca, Pająk oznajmił, że najbezpieczniejszymi miejscami w domu, gdyby przyszły wstrząsy wtórne, są szafy, bo są przymocowane do najtrwalszych ścian. Tak więc w kolejnych dniach kolejne przedmioty znikwały z ich wnętrza zastępowane butelkami wody, kocami, sucharami i konserwami „na wszelki wypadek”. Liczba ofiar trzęsienia rosła z dnia na dzień, aż wyniosła prawie czterdzieści tysięcy. Sprawdzaliśmy ją z ojcem co wieczór, a potem żegnaliśmy się tymi samymi słowami.

OJCIEC

Jak coś, to do szafy.

JA

Wiem, pamiętam.

OJCIEC

Dobranoc.

JA

Dobranoc.